

Na Bałutach gryzą psy
Bałuckie opowieści

Jerzy Krzywik Kaźmierczyk

Na Bałutach gryzą psy

Bałuckie opowieści



Opieka redakcyjna:
Magdalena Jarnotowska

Redakcja i korekta:
Weronika Wodzińska

Projekt okładki i rysunki:
Dariusz Romanowicz

Skład:
Paweł Szewczyk

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2016

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-329-4



KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54
www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl



Łódź 2016. Wydanie 1

Spis treści

Kokolobolo	7
Bał na Aleksandryjskiej	15
Bar Lunch	23
Javna Kuča	27
Falszownicy	35
Szał uniesień	41
Trafika pana Ziutka i psa Azorka	45
Trzej Królowie	51
Mojsze Śliniak	57
Kupcowa Szprynca	61
Majówka na dołku	65
Bomby!	71
Sacharyna	75
Policjant w kalesonach?	81
Pożar na ulicy Berka Joselewicza	85
Ostatnia taka zabawa na Bałutach	89
Bałucka złotowa	97
Granda w Hotelu Grand	105
Oblężenie	121
Złoto Bałut	125
Za polskie dolary	135
Koniki	141
Z bębniem w tle	149
Hakuna matata	155

Zocha Żelazko	163
Śnieżne wrota	169
Fotografia	175
Na Bałutach gryzą psy	185
Drzwi	195

KOKOLOBOLO



Na rogu ulic Piłsudskiego i Pomorskiej, chyba już od początków dwudziestego wieku, stała drewniana budowla sprawiająca wrażenie, jakby stworzona była specjalnie na wyszynk i to takiego rozmiaru, na jaki zasługuje rozwijające się miasto. Duży szyld namalowany na blasze obwieszczał trochę koślawymi literami, że tu jest: „Piwiarnia z prawem wyszynku” i nazywa się: „KOKOLOBOLO”. Nikt nie wiedział, co to znaczy. Domysłów było wiele i nawet sam właściciel, pan Icek Leipcygier nie znał powodów, dlaczego tę knajpę tak nazwano. Może wiedział, ale jakoś zawsze wymigał się od odpowiedzi, uśmiechając się przy tym dość tajemniczo. Oczywiście, że tak dziwna nazwa wyszynku zawsze wzbudzała ciekawość i nawet prasa łódzka dociekała w licznych rozmowach z czytelnikami,

skąd taka nazwa – może ktoś wie? Nie wiedzieli, chociaż jeden czytelnik wiedział, że było to tak...

Otóż w tym miejscu, na pustym placu, ale blisko centrum budującego się miasta, niedaleko Nowego Rynku¹ odbywały się różnego rodzaju zabawy ludowe. Stawiały swoje namioty nieduże cyrki i dawały przedstawienia różne wędrownie trupy artystów wagabundów. Bardzo dużym powodzeniem u miejscowej ludności cieszyły się cotygodniowe występy trupy śmiesznych klaunów. Było ich trzech: KOKO, LOLO i BOLO. Tu, na tym placu, trzej klauni postawili wesoły dom, w którym można było wypić i zamącić sobie w głowie, śpiewając przy tym: „(...) *najlepiej w głowie mieć szum...*”.

Czy tak naprawdę było? Może. W końcu, czy to takie ważne? Wyszynk stał sobie latami, pojąc spragnionych, a nazwa na blaszanym szyldzie oznajmiała, że tu jest właśnie „KOKOLOBOLO”.

Od tego miejsca, od placu, na którym stał budynek piwiarni z wyszynkiem Kokolobolo, tak naprawdę zaczynały się Bałuty. Tutaj właśnie zbiegały się jakby dwa światy. Ten szybko rozwijający się – świat nowoczesnej kultury maszyn, ale i bezwzględного wyzysku ludzi przy nich pracujących, oraz świat, który stawał się miejscem osiedlania każdego rodzaju nieudaczników, mętów społecznych z wrodzonymi inklinacjami do wszelkiego zła. Bałuty miały właśnie spełniać taki cel. Już okupant pruski to przewidział i w tej byłej wsi nie planowano żadnej infrastruktury przemysłowej. I tak już zostało. Na Bałutach nie ma fabryk i nie powstała klasa robotnicza. Osiedlano tu ludzi zbytecznych.

Kokolobolo było jakby granicą między dwoma światami: złym i jeszcze gorszym. Dla tych z Bałut, oznaczało miejsce, gdzie ulicę dalej zaczynał się inny świat, bogatszy pod każdym względem, gdzie stały duże domy, z których wychodzili bogaci ludzie ubrani w futra. Dla tych z ulicy Piotrkowskiej,

¹ Nowy Rynek – w latach 1918 (1919) –1939 i od 1945 plac Wolności.

tuż za Kokolobolo zaczynała się dzielnica nędzy i powszechnego zła – Bałuty.

Piwiarnia z wyszynkiem Kokolobolo była zakałą tej części miasta, zaczynającego się dosłownie za rogiem. Tuż obok znajdował się plac Wolności, który stawał się centralnym miejscem Łodzi. Piwiarnia była wrzodem na młodej tkance miasta, zbiornikiem ścieków ludzkich wypływających z jego plugawych zaułków. Gromadziła najgorsze szumowiny wielkomiejskie, ale i bandziorów z okolicznych wsi. Tu spotykali się wszelkiego rodzaju złodzieje, różnej maści oprychy, alfonsi i tacy, co za sto złotych urznęliby głowę każdemu, kogo wskazałby płatnik.

Nie obronił się nawet wielkolud „Przytulnik”, który dawał sobie radę z wieloma w bójce na sali, jak też i w zaułkach miasta. Przy szynkwasiu w Kokolobolo szajka rudowłosego Rubina zaciukała go nożami. Tuż przy drzwiach wejściowych do piwiarni we wrześniu 1929 roku najslawniejszy gangster Łodzi, król podziemnego świata machlojek wszelakich, sam Menachem Bornsztajn o ksywie „Ślepy Maks”, strzałami z rewolweru pozbawił życia – też plugawego – bandziora Karmę Sruła Balbermana. Zastrzelił też policjanta, który polował na Bornsztajna. Pomógł mu serdeczny kolega, znany nożownik, Staszek Poneta, który dźgnął policjanta nożem. Maks zabrał stójkowemu rewolwer i po prostu go dodatkowo zastrzelił.

W Kokolobolo spotykali się najslawniejsi, najgorsi, absolutni królowie zła wszelakiego. Nie przesiadywali w tej spelunie dłużej niż wymagała tego sprawa. Ten spotkał się z tym, aby tamtego wycwancykować. Od spotkań towarzyskich były na Bałutach lokale wprost wykwintne, chociaż nie na miarę tych na ulicy Piotrkowskiej. Na Bałutach miał swoje lokale Mojsze Pojto, bałucki bogacz, ale i pierwszej wody gangster. Wpadał tutaj, aby pogrozić łobuzowi psującym jego interesy, niejakiemu Pejsachowi Mamyłukowi.

– Pejsach – mówił Pojto. – Ja ci, gnoju, ucho oderżnę, jak będziesz mnie moje kurwy straszyl i myto pobierał. Pamiętaj, Pojto ci to mówi. Ty jesteś Mendele „Bękart”, ty mi nie podskakuj i już widzę ciebie bez jednego ucha. Ty mi nie strasz kupców i sklepikarzy. Ci nie wolno tak robić. Pobieranie za opiekę to jest mój grosz i won mi z tego podwórka – to powiedziawszy, Mojsze Pojto zapłacił i wyszedł, nawet nie ruszył zamówionego piwa z dolewką wódki.

Pan Leipcygier, stojący za swoim szynkwasem, kilka razy bardzo nisko kłaniał się wychodzącemu. Szaja „Bokser” z wielkim uznaniem obserwował całą scenę z Mendele i już gotów był walnąć w łeb tego łobuza Mendele za to, że chciał pana Pojta oszwabić. Już kilka razy pomagał szefowi w takich sprawach. Zawsze pan Pojto był zadowolony.

Nawet wielki bogacz i właściciel kasyna gry wraz z burdelem, i to w samym centrum miasta, przy ulicy Piotrkowskiej 48, pan Fajwel Najfeld vel Bucik czasami zjawiał się w tym obokurnym drewniaku, zamawiał najdroższe piwo, w którym gasił wypalane trzy kubańskie cygaretki, płacił, nie odbierając reszty i wychodził. Bywał, bo jego człowiek rekrutował tu panienki do interesu pana „Bucika”. Umówione przychodziły, czekały na zewnątrz, ażeby już z pracodawcą udać się w tajemne miejsce w celu sprawdzenia towaru. Sędziwy – bo dożył pięćdziesięciu lat – gangster imieniem Bezmak, specjalista od włamów wszelakich, bardzo po cichu zapytał pana Leipcygiera, dlaczego na Fajwela mówiono „Bucik”.

– Było ich paru braci i mieli taki fason, że nosili takie same buty. Poszli na włam i wrócił tylko jeden, właśnie Fajwel i od-tąd kumple dali mu ksywę „Bucik”.

Wielkim świętem i ogromnym szczytem dla Icka, właściciela piwiarni, było zebranie dintojry² bałuckiej. Najważniejsi zbierali się, pili piwo, które oczywiście fundował właściciel,

² Dintojra – krwawa zemsta, sąd w środowisku przestępczym. Dintojra rozstrzygała kwestie sporne między gangsterami i karała tych, którzy łamali zasady.

i uradzali, co i jak, oraz kogo ukarać. Od tego sądu nie było odwołania. Przez ten sąd ukarany został śmiercią sławny bandyta Feliks Światała vel Trupia Główka. Kradł i mordował, i do tego jeszcze swoje ofiary torturował. To już przekraczało zwyczaj bandyckiego fachu. Dintojra ostrzegła, ten jednak dalej robił swoje. Mordował i torturował. Dintojra wydała wyrok. Któregoś dnia Światałę znaleziono we własnym łóżku, przy czym jego głowa leżała na stole.

Bardzo szacownym gościem w Kokolobolo bywał pan Szaja Zylberszac vel Magnat. To był bogaty pan, bo posiadał na Bałutach duży dom, ale przede wszystkim był najlepszym kumplem samego „Ślepego Maksa“. Bywał tu rzadko, ale jeżeli już, to zawsze w doborowym towarzystwie – Jaśka Orzecha – znanego bandziora i okrutnika dla winnych. Nawet jako goj był wykonawcą poleceń bałuckiej dintojry. Przy jednym stole pan Szaja pijał piwo z bardzo szacownym włamywaczem, działającym nawet w Warszawie, panem Witkowskim. Zawsze bardzo uprzejmie witał się z mecenasem Kalickim, który tu właśnie rozmawiał ze swoimi klientami. Rozmawiał, co nie znaczy, że była to relacja prawnik – klient. Kalicki po prostu omawiał z chłopakami, jak wykonać robotę, aby Temida w razie wpadki była bardziej łaskawa.

Historia życia pana Zylberszaca zakończyła się tragicznie. Mimo możliwości i usilnej namowy „Ślepego Maksa“, aby uciekał z Łodzi i w ogóle z Polski, Szaja nie przewidział takiego losu, jaki hitlerowcy zgotowali Żydom. Zawsze mówił: „Ja się z każdym dogadam“. Niestety nie z doktryną „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej“, jaką zaplanował Hitler. Szaja Zylberszac znalazł się w getcie łódzkim. Taki człowiek z takim charakterem nie nadawał się do sytuacji, w jakiej kazali mu żyć. Szaja „Magnat” Zylberszac podjął samotną walkę z tymi, którzy nie pozwolili mu żyć po swojemu. Zginął od kuli oficera SS.